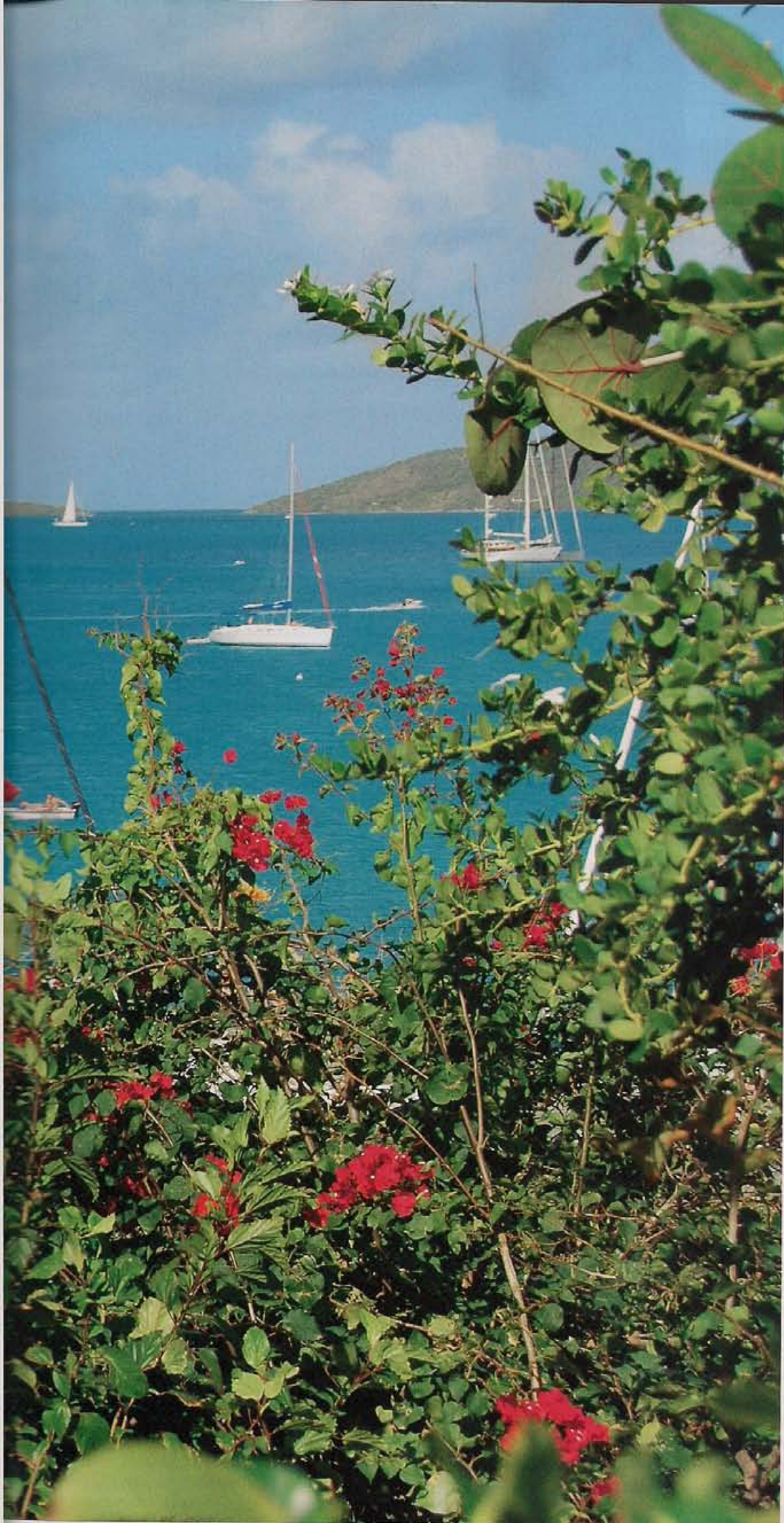


# Karaiby z pozycji galionu

Wszystko, oczywiście, przez ukochanych przyjaciół. Całe życie wystarczało mi tylko towarzystwo prawdziwych żeglarzy, lektury o nich, śpiewanie z nimi szant i picie piwa. Los jednak wrzucił mnie w łapy Marka Szurawskiego i Jacka Reschke – na karaibski rejs.



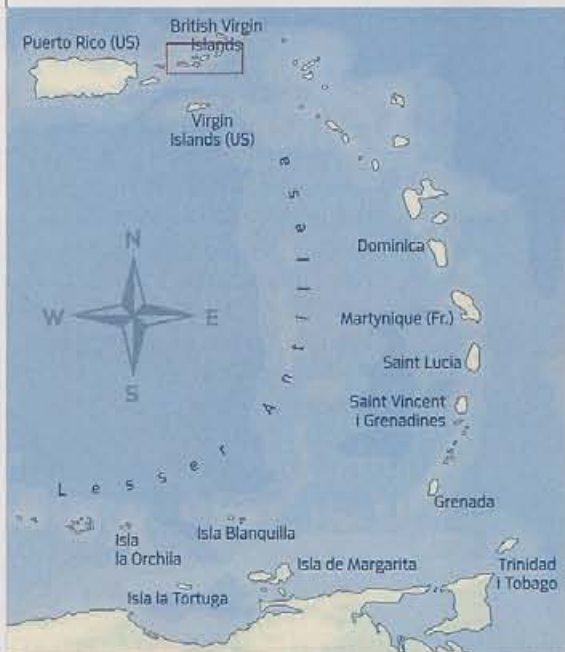
**TEKST I ZDJĘCIA**  
**MONIKA SZWAJA**

**Ten ostatni** właśnie przyjechał na krótko do Polski i nie zdążył jeszcze wyczerpać przywiezionych z Karaibów zapasów rumu Pussera, który to rum Marek nakazał nam spożywać... ideologicznie, bo pita go przez jakieś trzysta lat marynarka Ich Królewskich Wysokości, królów i królowych Anglii. Najpierw w postaci czystej, a potem, odkąd pewien niedobry człowiek, admirał Vernon, kazał rozcieńczyć go wodą – jako grog. Wypróbowaliśmy obie wersje, po czym panowie zaczęli mnie namawiać, żebym popłynęła na te Karaiby Jackowym katamaranem o wdzięcznej nazwie „Shanties”. Opierałam się, przytomnie tłumacząc, że jako schorowana staruszka nie nadaję się do żadnej załogi. Na to oni, że jest to wypasiony katamaran właśnie dla staruszek, że nic tam nie trzeba robić, no ewentualnie mogę być galionem. W końcu mi przypomnieli, że płyną po Brytyjskich Wyspach... Dziewiczych. I tu mi opór skłęś, bowiem napisałam ostatnio powieść pod tytułem „Klub Mało Używanych Dziewic” – nomen omen. Podałam się...

**Załoga rumowo-rodzinna...**

Uzgodniliśmy, że popłyniemy w lutym lub w marcu, kiedy temperatura na Karaibach jest znośna, wiatry umiarkowane i ogólnie są dobre warunki właśnie dla starszych pań. Tu dodam, że Jacek Reschke nie tylko starsze panie wozi, wozi również młodych gniewnych, a w ogóle robi rejsy dla różnych ludzi. Nie będę wymieniać, łatwiej zajrzeć na jego stronę [www.sail-caribbean.net](http://www.sail-caribbean.net). Załoga zapowiadała się dwunastoosobowa, bo oprócz licznej rodziny Marka Szurawskiego w jej skład wchodziły cztery zaprzyjaźnione osoby ze Szczecina: Mira Urbaniak, znana żeglarka i dziennikarka, a ostatnio organizator „życia morskiego” w Szczecinie, Ania Łaszewska – też żeglarka i na dodatek „matka polskich szantymenów”, a prywatnie żona znanego kapitana Andrzeja Mendygrała, Kryśka Kajewska – producentka telewizyjna, i ja – epizodycznie jeszcze dziennikarka, ale w zasadzie już raczej pisarka.

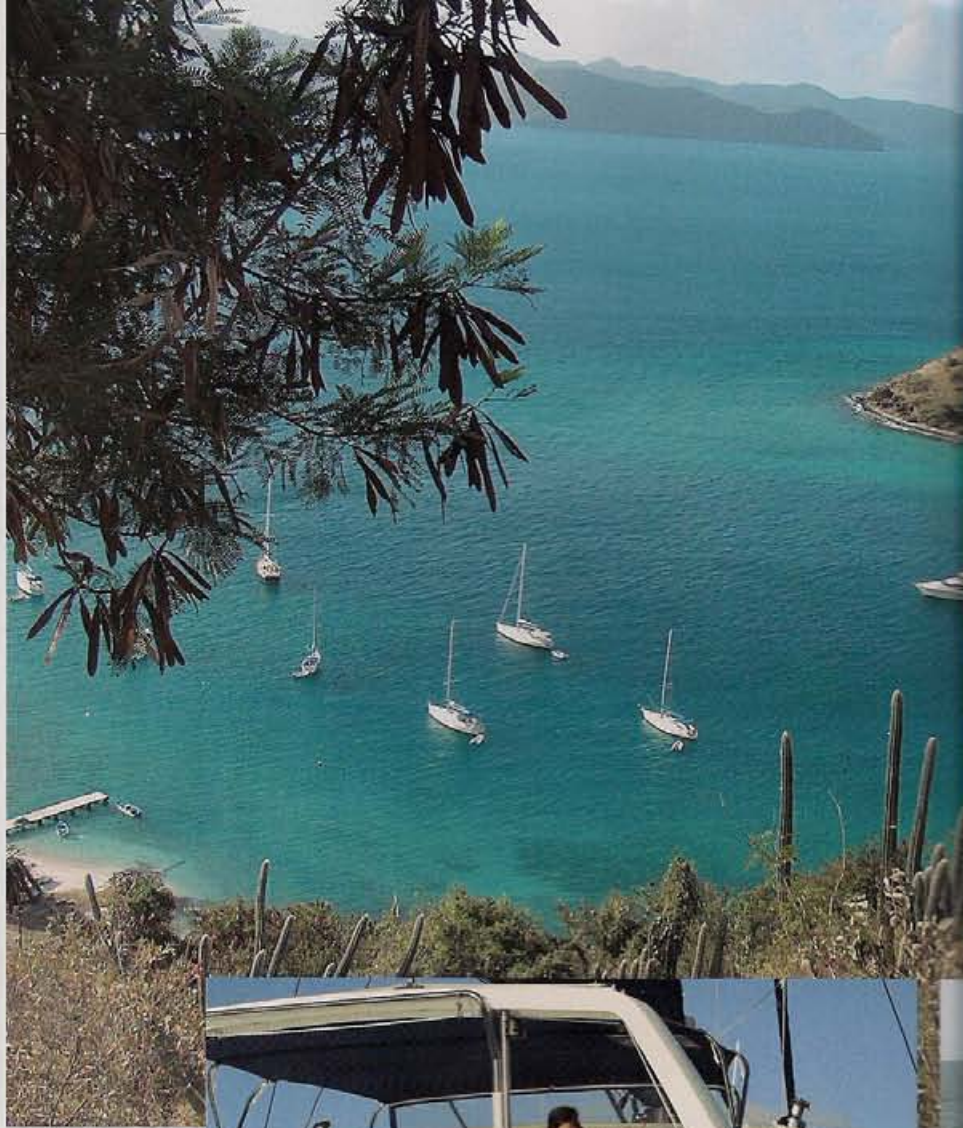




BRYTYJSKIE WYSPI DZIEWICZE



RYS S. CZAPKOCKI



ANDRZEJ KORYCKI I DOMINIKA ŻUKOWSKA Z NIRODŁĄCZNYMI GITARAMI

Niestety, tydzień przed wylotem Marek Szurawski zrobił najgłupszą rzecz, jaką mógł zrobić – dostał bowiem najprawdziwszego... zawału. Na szczęście lekarze wyciągnęli go spod kosa, ale na temat rejsu tylko mu się śmiali w nos. Tym sposobem nasza załoga skurczyła się niespodzianie do czterech dam. Plus oczywiście kapitan Jacek...

Karaiby są daleko, o czym wie każde dziecko. W dodatku na Tortolę, główną wyspę archipelagu, nic bezpośrednio z Europy nie lata, trzeba więc kombinować. Wybrałyśmy lot Air France'em via Paryż na francusko-holenderską wyspę St. Martin (St. Maarten), stamtąd lokalnym przewoźnikiem już tylko skok na Tortolę. W sumie: cztery kolejne samoloty... bo jeszcze ten ze Szczecina do Warszawy.

Wakacyjny nastrój zaczyna się już w Airbusie 340, startującym z Paryża, ale na dobre czuje się go na lotnisku St. Martin. Leży ono tuż obok pięknej i słynnej plaży, lądujemy więc ludziom prawie na głowach. A na samym lotnisku – luz blues i lolelele. No, może jeszcze nie na etapie

Immigration, gdzie czarna paniąka w dredach daje nam popalić. Gdy wreszcie wypłatujemy się z kwitów, okazuje się, że nasz samolot na Tortolę już... poleciał. Zawiadamiamy Jacka SMS-em, żeby zwinął powitalny czerwony dywan i koleżanki idą obejrzeć okolicę.

Koleżanki idą, ja – nie. Ja, po długim locie, mam nóżki od góry do dołu... równe. Zakładam więc kwaterę główną pod palmą. Pierwszą palmą! Dziki upał pod wieczór ustępuje miłemu chłodkowi. Mam wrażenie, że już pora na nasz samolot, ale przy odprawie urządza kolejna paniąka z dredami, sterująca ruchem pasażerów za pomocą niecierpliwego machania łapką. Pchamy się do wyjścia, ale zostajemy odgonione. Wreszcie dziewczyna macha i na nas...

Ciemną nocą docieramy na miejsce. Lotnisko nie leży, niestety, na samej Tortoli, tylko na połączonej z nią mostem Beef Island. Stojąc w kolejce do kolejnej Immigration, przysięgam, że jeśli ktoś każe mi przejść dwa metry na piechotę, to go po prostu zabiję.

W holu wpadamy w przyjazne ramiona czekającego na nas Jacka i – niespodzianka! – Witka Zamojskiego, żeglarza i znanego szantymena – autora słynnej „Umbriagi”. Zawiadamiają nas, że do portu jest 300 metrów, idziemy piechotą! Zaciskam zęby, ale idę. Reszta towarzystwa radosna jak świnki w deszcz. Istotnie, jest woda, są palmy i pomost. Nie ma jednak naszego jachtu. Podobno stoi na bojce. Panowie ładują bagaże do gumowej dinghy i znikają w ciemności. Wracają szybko i teraz my płyniemy w tę ciemność. Nagle słyszymy jakieś głosy i przed nami pojawia się biała rufa, na której dopiero teraz zapalono światło.

A tam siedzą sobie spokojnie... Andrzej Korycki i Dominika Żukowska oczywiście z gitarami i oczywiście śpiewają „Byle dalej”...

Rozsiadamy się na rufie, obszernej niczym mój taras od strony ogródka, a kapitan robi nam jakieś ratunkowe drinki i nasze zmęczenie znika. Gapimy się na oświetloną marinę i lotnisko, patrzymy, jak w ciemnościach kotłyszają się światła na topach masztów, a od strony Atlantyku wschodzi księżyc. Jakiś dziwny. Nasz księżyc w nowiu stoi na rożku, ichni buja się na pleckach. Wielki Wóz też mają tu do góry nogami i Oriona... No coż – jesteśmy na osiemnastym równoleżniku.



GALIONEM BĘDĘ POTEM, NA RAZIE SIEDZĘ POD BIMINI

Niewykluczone, że marina w Trelis Bay po raz pierwszy usłyszała chóralne wykonanie „Bradiagi” oraz kilku innych przebojów ze wskazaniem na rosyjskie. Tak nam w duszy zagrato...

### Tłusta Dziewica i katamaran „Shanties”

Kiedy budzimy się rano, Andrzej i Dominiki już nie ma. Witek też wyjeżdża, a wraz z nim jego dwaj czteroletni synkowie. Wygląda na to, że tym katamaranem naprawdę można wozić każdego.

Najpierw Jacek chce nam pokazać miejsce zwane The Baths na wyspie Virgin Gorda. Virgin Gorda – Tłusta Dziewica, cóż za uroczą nazwa! –



KPT. JACEK RESCHKE, INICJATOR SŁYNNYCH KRAKOWSKICH SZANT

jest jedną z największych wysp archipelagu – obok Tortoli, Anegady i Jost Van Dyke. Płyniemy do niej po morzu bajecznie kolorowym – jak w reklamach. Szmaragd miesza się z turkusem, a niebo olśniewa błękitem, Jezus, jaki straszny kicz! Trudno nam się oderwać od wizjerów aparatów fotograficznych...

Niestety, moje nóżki wciąż odmawiają współpracy, a ja – z kolei – odmawiam wyjścia na brzeg. Towarzystwo rusza oglądać malowniczą plażę. Kapitan, w odruchu żalu nad unieruchomioną sierotką, proponuje, że obwiezie mnie pontonem wzdłuż brzegu. Korzystam z radością. Mijamy gigantyczne głazy o wygładzonych kształtach – są pochodzenia wulkanicznego i wyglądają niesamowicie, a cały brzeg jest nimi ułany. Palmy z daleka robią wrażenie, jakby wyrastały wprost z kamieni. Bajka.

Wracamy na jacht i teraz go sobie mogę obejrzeć w pełnym słońcu. Jest piękny, ma szlachetny kształt, no i – nie da się ukryć – jest niesłychanie wygodny. Mamy cztery kabiny – dwie dwu- i dwie trzyosobowe, każda obszerna, z miękkimi posłaniami (nazwa koja nie jest tu właściwa!), z własną toaletą i prysznicem. Kuchnia i salon na górze też spore i sensownie rozwiązane. Na rufie coś w rodzaju salonu zewnętrznego pod niebieskim daszkiem – tu będziemy jeść, pić i bałwanić się do kwadratu. Są nawet schodki, którymi bezpiecznie i wygodnie można zejść wprost do morza. Na dziobie są również miejsca do siedzenia i rewelacyjna siatka rozciągnięta między pływa-

kami, na której da się wyłożyć dowolną stroną do słońca. Oczywiście stroną posmarowaną odpowiednim kremem, bo można się tu ugotować i upiec, aczkolwiek temperatura na morzu jest całkiem przyjemna – i tym bardziej zdradliwa.

Kiedy na dobre rozpoczniemy pływanie, przekonamy się, że nasz katamaran potrzebuje do obsługi właściwie jednego człowieka. Jacek chcąc postawić żagiel, naciska guzik, do refowania służy inny guzik, kotwica też działa na pilota. Czasem tylko potrzebna jest niewielka pomoc przy linach i przy cumowaniu do tych bojek, na których będziemy stawać.

Któregoś dnia Jacek namawia mnie do „przejęcia steru” – uczucie jest boskie: prowadzę katamaran po morzu, wieje piątka, w porwach szóstka. Wiatr popycha nas w słuszną stronę, dokoła mnóstwo wody i ani jednej rafy w promieniu paru mil. No i jest baczne oko kapitana, które pilnuje, czy nie zrobię jakiejś głupoty.

British Virgin Island (BVI), czyli Brytyjskie Wyspy Dziewicze są wręcz wymarzone do takiego beztrudnego żeglowania. W czasie jednego rejsu można „oblecieć” właściwie cały archipelag i robić to, na co się właśnie ma ochotę: pływać w kolorowych wodach, nurkować i obserwować podwodne dziwy na rafach, zwiedzać mniejsze i większe wyspy, plażować, fotografować, popijać rumowe drinki pachnące owocem passion fruit – ewentualnie słynnego Painkillera (Mordercę Cierpień), czyli mieszaninę rumu Pussera

z sokiem ananasowym, pomarańczowym, mleczkiem kokosowym i gałką muszkatołową. Oczywiście można też... nie robić nic. Rozleniwieniu sprzyja brak łączności. Po kilku dniach rejsu zapomina się o komórce, która leży spokojnie w szafce i nie dzwoni, bo nie ma zasięgu. Czasem tylko kapitan „łapie” Internet i jeśli bardzo chcemy, możemy wysłać maila do rodziny: „Jak żyjecie, bo my cudnie”...

Można też zwiedzać bary na plażach, na ogół zbite z desek i raczej proste w koncepcji. Oprócz obowiążkowego Painkillera i innych drinków dają tam jeść. Odwiedzić BVI i nie skosztować lobstera na Anegadzie – to duży błąd.

Anegada była kolejną wyspą, na którą popłynęliśmy, obejrawszy z grubsza Virgin Gorda z jej marinami w Leverick Bay i mocno wypasionym Bitter End (kolonialna ażurowa architektura i mnóstwo kwiatów, z dżurną bugenwillą w stu kolorach na czele). Tu uwaga: niemal wszystkie wyspy archipelagu są górzyste. Oprócz Anegady, która przypomina obgrzyziony naleśnik, a jej najwyższe wzniesienie ma raptem 8 metrów. Jest najbardziej wysunięta na północny wschód i cała otoczona rafą – trzeba więc tu mieć dobre mapy i umieć... żeglować, żeby trafić w wąski przesmyk i stanąć na boi w marinie w Pomato Point. Natychmiast podpłyń do nas pontonem uśmiechnięty miejscowy, skasuje 25 dolarów za postój i da nam kartę dań swojego baru na plaży. Tak jest wszędzie – można od razu zamówić stolik na kolację i samą kolację też. Skubany lobster, czyli homar kosztuje tu wprawdzie 50 dolarów, ale jakże go nie spróbować?

Pod pomostem, którym wychodzimy na brzeg, umieszczono kosz z metalowej siatki, w którym kłębią się w wodzie najróżniejsze potwory. Potwory, na szczęście, nie są wrzucane żywcem do wrzątku, najpierw dostają w łeb. Potem się je grilluje pod pokrywą, od czego nabierają dymnego posmaku. Są rewelacyjne. Niezłe są też: ryba mahi-mahi (dorada), ryba grupper, zamawiane przez nas na różnych wyspach panierowane kalmary i krewetki tygrysy w panierce z orzechów makadamia – ale te

anegadzkie lobstery wszystko biją na głowę, pyszota!

Anegadę postanawiamy objechać taksówką. Wyspa jest dość przykurzona, płaska i na pozór mało ciekawa. Szybko jednak trafiamy na obszar zwany Anegada Western Salt Ponds – słone jeziora czy raczej stawy. Tablica informuje, iż wpisane są one na listę z Ramsar – to międzynarodowa konwencja o obszarach wodno-błotnych, na których bytuje wodne ptactwo. Chwilę później zastanawiamy się, dlaczego właściwie nie wzięliśmy lornetki? Daleko, daleko majączą różowe kształty. To flamingi.

Zadowaliśmy się świadomością, że one tam są, fotografujemy słone rozlewiska dziwnego, morelowego koloru i jedziemy dalej. Mijamy jednopiętrową stolicę wyspy – Settlement, czyli Osiedle i niebawem otwiera się przed nami kolejna plaża jak ze snów. Oczywiście bar z Painkillerem jest na miejscu. Oraz hamak między dwiema palmami. I wielkie muszle otaczające palmy... u nas kiedyś układano tak cegły pod skosem, żeby było wygodnie... Te muszle znajdują się tu na piasku. Na niektórych można zatracić...

### Jachting, czyli jacking

Kolejne dni uływają nam beztroško. O poranku budzi nas „Był dalej” Koryckiego, włączane przez Jacka, który wstaje ze słońcem. Kaweczka, śniadanko, a potem kapitan uruchamia silnik i opuszczamy marinę. Pływamy tak od wyspy do wyspy, kiedy tylko można – na żaglach. Mimo to Mira, żeglarka ortodoksyjna, uważa, że nie uprawiamy żeglarstwa. Ma rację. My się tak naprawdę wozimy. Mira nazywa to jachtingiem, ale mnie przychodzi do głowy określenie – jacking. To Jacek opiekuje się nami i odgaduje nasze życzenia, zanim zdążymy je wypowiedzieć. Ponieważ sam jest zakochany w Karaibach, chciałby nam jak najwięcej pokazać. Patrę na mapę z wykreśloną trasą naszego rejsu i widzę: małe Ginger Island, Cooper Island, Salt Island, Peter Island, Norman Island – to podobno Stevensonowska Wyspa Skarbów. Tutaj miejsca w marini są zajęte – na noc stajemy „za rogiem” na kotwicy. Jest pełnia.

Robię zdjęcia – nie do wiary, że to przy księżycu. Góra, przy której stoimy, cała drży od śpiewu cykad. Niesamowite wrażenie. Rano okazuje się, że są tu jaskinie, do których można wpląć (osobiście, nie jachtem!) i ponurkować. Moje przyjaciółki próbują i stwierdzają, że to jednak wymaga treningu, ale Dobrochna, żona Jacka, i córka Agnieszka (przyjechały, bo Wielkanoc się zbliża) nurkują jak chcą...

Ja namiętnie fotografuję skały, które wyglądają trochę tak (poza tymi na Virgin Gorda), jakby ktoś wrzucił do wody nasze Karkonosze. Pokochałam też pelikany. Jest ich tu wszędzie zatrzęsienie. Polują na ryby znaną metodą: lecą i patrzą, a kiedy wypatrzą obiad, pikują w dół, aby po chwili wypłynąć z pełnym wolem. Czasem źle oceniają głębokość, trafiają na pływaczę i zarywają dziobem w piach, tak że tylko kuper im wystaje z wody. Wszystko przez tę

boru: klimatyczne bary i sklepiki zbite z desek albo luksusowe spa w gąszczu bugenwilli...

Oczywiście spotykaliśmy także wielkie „cruisery” – pływające miasteczka z kilkoma tysiącami pasażerów. Zawijały do Road Town na Tortoli, stolicy BVI, wypuszczały z siebie masę ludzką, która oblatywała miasto i zwoływana wyciem syreny karnie wracała na swoją półkę w tej gigantycznej szafie. My też obleciałyśmy Road Town – niestety, w deszczu, więc raczej pobieżnie. Objechałyśmy też Tortolę taksówką. Jest górzysta, więc widoki zapierały dech w piersiach. Nie wiadomo, czy te wszystkie zatoczki ładniej wyglądały z góry czy wtedy, kiedy wplywaliśmy do nich katamaranem.

Ach, jeszcze jest Sandy Cay – piaszczysta wysepka, na której Kryśia zostaje przyjeta do Kongregacji Miłośników Krzewienia Kultury Ptacia Rumu WRAK (<http://fkm.com.pl/wrak.htm>)..., jest Skrzynia Umrzyka – Dead Chest, z daleka przypominająca trumnę... i jest Jost van Dyke – ulubiona wyspa Jacka i Marka. Zapewne z powodu słynnego baru „Soggy Dollar” (mokry dolar) – gdzie wymyślono Painkillera, narodowy drink BVI. Czy to nie urocze? Narodowy drink. Podobno niektórym żeglarzom tak się do niego spieszyło, że wyskakiwali za burtę i docierali do baru wplaw, przez co forsą na Painkillera ulegała zamoczeniu. Barman nie martwił się tym, tylko wieształ te mokre pięciodolarówki na sznurku i przytrzymywał je klamkami do bielizny. Ten sznurek tam wciąż wisi... Mamy nadzieję, że jeszcze tam wrócimy i dowiesimy na nim kolejne pięć dolarów.



**Karaiby  
jawiają mi się jak  
w popularnej  
piosence: „słońce,  
plaża, a czas obok  
sobie biegnę...”**

niesamowitą przezroczystością wody. Machają wtedy łapami aż do skutku i lecą dalej.

Wydawałoby się, że na tych rajskich wyspach powinno roić się od ludzi, a jednak tak nie jest. To dlatego, że niełatwo się tam dostać. Jest jedno duże lotnisko na Beef Island i dwa małe, na Anegadzie i Virgin Gorda. Małe promy, które dość grymaśnie kursują między niektórymi wyspami i wożą głównie miejscowych. Trzeba więc dysponować własnym pływadłem. Ci, którzy tu dotrą, mają do wy-

### Pożegnanie

Smętne – jak to pożegnania, zwłaszcza że było nam tak dobrze. Kiedy po dwunastu dniach takiego bajkowego rejsu zostawialiśmy Jacka i jego katamaran w marini Hodges Creek na Tortoli, już miał kolejną załogę – częściowo z Poznania, częściowo z Chicago. A na nas znowu czekała trzydziestoseściogodzinna podróż czterema samolotami i potężny jetlag po powrocie do domu. I długo jeszcze, kiedy zamykałyśmy oczy, widziałyśmy górzyste zielone wyspy na szmaragdowym morzu.



Ten mały  
fotoreportaż  
pokazuje  
wszystkie  
możliwe  
aspekty  
radosnej  
żeglugi po  
Brytyjskich  
Wyspach  
Dziewiczych.

